

CZY WARTO SIĘ ANGAŻOWAĆ?

– to tytuł nowej dyskusji, którą Klub Nastolatków rozpoczyna dziś na str. 3. Zapraszamy Cię do przeczytania, zastanowienia się, zabrania głosu.

KLUB NASTOLATKÓW

ŚWIAT MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA



Nr 73 (2169) 12 września 1972 r. Cena 50 gr

Rozbitki

Załoga jednego z rybackich szkunerów radzieckich uratowała od niechybnej śmierci siedem małych fok, których matka zginęła. Rybacy wyłowili je z morza, gdy znajdowały się u kresu sił. Zrobiono im kojec, a marynarze prześcigali się w dostarczaniu im pożywienia. Wypuszczono je zdrowe i całe na wolność u brzegów Foczej Wyspy, na Morzu Ochockim.

Nie ma identycznych żyraf

ŻYRAFY nie mają nazwisk ani imion. Nie reagują na przezwiska. A przecież jakoś trzeba te żyrafy odróżniać, zwłaszcza przy badaniach naukowych, kiedy obserwuje się większą ich ilość. Wszystkie wydają się być jednakowe. Otóż nie, twierdzą zoolodzy z Kenii, żyrafy wcale nie są jednakowe, w całej Afryce nie ma dwóch jednakowych żyraf. Centki na żyrafich szyjach są tak niepowtarzalne, jak linie papilarne na palcach człowieka.

Na zdjęciu: żyrafa „Donald", przybysz z Afryki Południowej, zawiera znajomość z kamerą w podparyskim rezerwacie zwierząt.

Foto: CAF

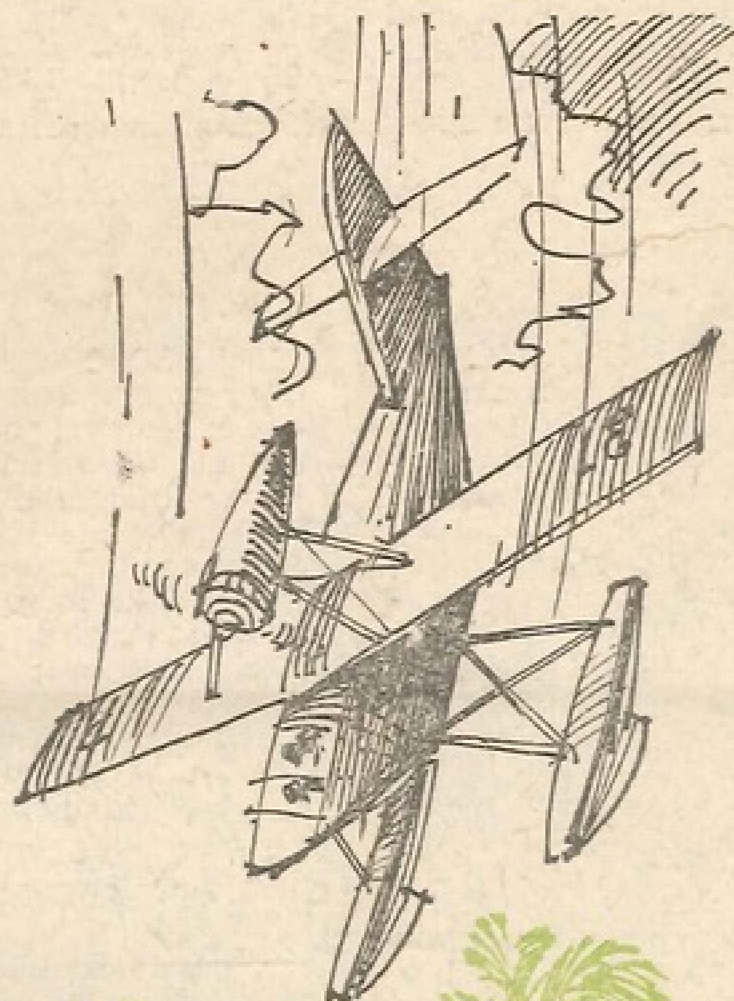


Z PIRATEM POWIETRZNYM NA POKŁADZIE

Halo, Manao! Wola „BX-35"! — kapitan Dines poprawił na szyi laryngofon. — Woduję u was za godzinę. Powtarzam: woduję w Manao za godzinę...

Pięć minut temu brazylijski hydroplan pocztowy „BX-35" pilotowany wprawną ręką kpt. Manuela Dinesa wystartował do kolejnego etapu na cotygodniowej trasie pocztowej. Na pokładzie miał przesyłki dla odległych faktorii w rozległym dorzeczu Amazonki, pieniądze na wypłatę dla robotników leśnych, skrzynki z bronią i amunicją dla myśliwych. Niestety, na ostatnim postoju kpt. Dines musiał zostawić swojego pomocnika Gonzalesa.

C.d. na str. 3



Za minutę eksplozja!

POWAKACYJNE PLOTECZKI



JAK STARTUJĄ INNI

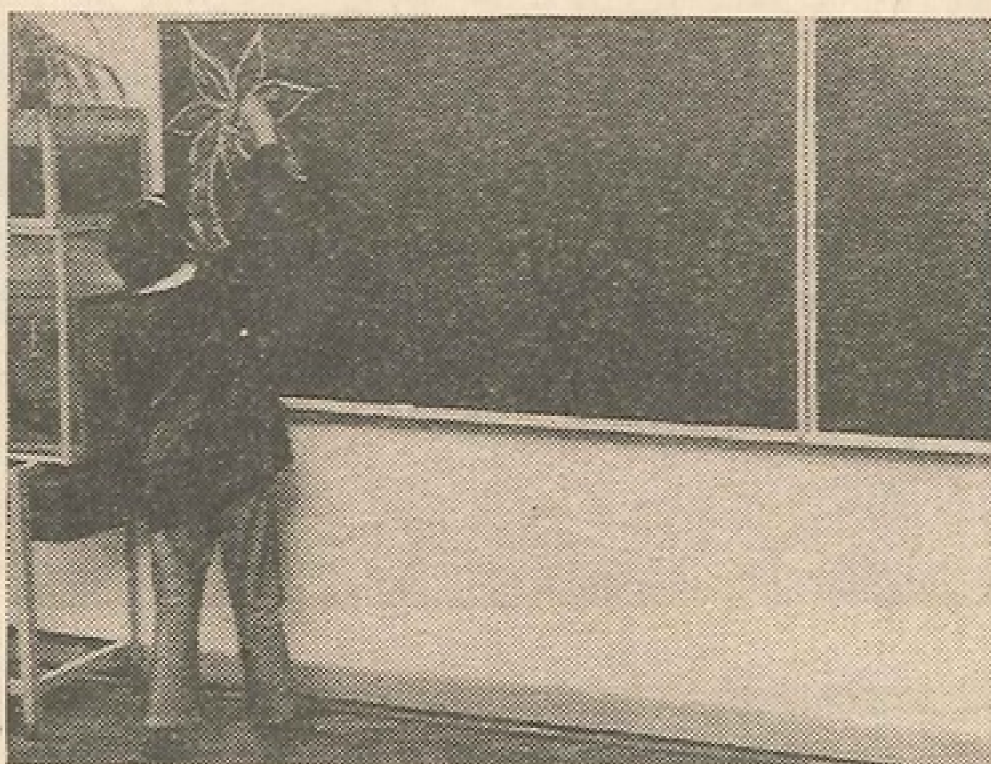
POLSKA SZKOŁA znajduje się w przededniu swoich wielkich przemian. Ostatnie decyzje Ministerstwa Oświaty i Wychowania są ich zapowiedzią. Wiele nowego w tej sprawie wniesie również Raport o Stanie Oświaty przygotowywany przez Komitet Ekspertów.

Zmiany te dotyczą również najmłodszych, a więc tych, którzy w tym roku po raz pierwszy przekroczyli progi szkoły. Zastali ją już nieco zmodernizowaną, bardziej przygotowaną do zadań, jakie stawia przed nią nowoczesne społeczeństwo.

Tak się dzieje u nas. A jak ów „start" pierwszoklasistów przebiega w innych krajach?

Odpowiada na to pytanie krótkie zestawienie przygotowane na podstawie materiałów nadesłanych przez korespondentów Polskiej Agencji Prasowej z siedmiu stolic europejskich.

(j.d.)



Czechosłowacja

WASI RÓWIEŚNICY rozpoczynają tam naukę w wieku lat sześciu i są na ogół doskonale przygotowani do jej podjęcia. Czechosłowacja posiada bowiem świetnie rozwiniętą sieć przedszkoli dysponujących wysoko wykwalifikowaną kadrą fachowców. W praktyce prawie każdy uczeń klasy pierwszej chodzi do przedszkola przed zapisaniem się do szkoły co najmniej jeden rok. Nie należy się więc dziwić, iż młodzi Czechosłowacy dają sobie doskonale radę nie tylko w pierwszej, ale i w wyższych klasach szkoły podstawowej.

Jak na razie nie przewiduje się więc wielkich reform w szkolnictwie podstawowym, natomiast zmieniono nieco organizację szkolnictwa średniego ogólnokształcącego. Okres nauczania w gimnazjach ogólnokształcących przedłużono do lat czterech, oraz powrócono do podziału na gimnazja humanistyczne i przyrodnicze.

NRF

TUTAJ RÓWNIEŻ nauka rozpoczyna się w szóstym roku życia. Jeśli jednak sześciolatek okazuje się jeszcze niezbyt dojrzały do podjęcia nauki, zostaje umieszczony w tzw. „klasie przedszkolnej dla dzieci w wieku szkolnym". Tam podciąga się jego poziom ułatwiając tym samym wstęp do pierwszej klasy.

Taki system obowiązuje w całej Niemieckiej Republice Federalnej, natomiast w niektórych krajach tej federacji prowadzi się eksperymenty uruchamiając — za zgodą rodziców lub na ich żądanie — pierwsze klasy szkolne już dla pięciolatków. Np. w Bonn pod koniec ubiegłego roku istniało 13 takich klas.

Jak się wydaje, system ten jak dotąd dał pozytywne wyniki potwierdzające tezę, iż można rozpoczynać wcześniej naukę w szkole podstawowej.

Francja

BARDZO CIEKAWIE wygląda w tym kraju przygotowanie dzieci do podjęcia nauki w szkole, i to już w szóstym roku życia. Otóż, podobnie jak w Czechosłowacji, przedszkoli jest tyle, że mogą one pomieścić prawie wszystkie pięciolatki oraz 80 proc. czterolatków. Psychologowie francuscy są zdania, iż dziecko w wieku 4-6 lat jest bardzo chłonne, szybko się uczy, nie można więc opóźniać rozpoczynania przez nie nauki.

W czasie ostatniego roku przebywania w przedszkolu dzieci już zupełnie wyraźnie przygotowują się do nauki w szkole. Uczą się obserwować, spostrzegać, porównywać. Dużo malują, rysują, wycinają. Zaczynają również czytać i... pisać! Nauka czytania przeprowadzana jest nieco inaczej niż u nas; nie ma nauki alfabetu, lecz od razu trzeba „czytać" całe słowa. Nie wolno sylabizować. Ten sposób sprawia, iż znajomość liter przychodzi sama już po kilku tygodniach nauki.

W przedszkolach, oraz później w szkole obowiązuje system nagród (tzw. „dobrych punktów") oraz dyplomów. Podobno wpływa on mobilizująco na dzieci zachęcając do większych wysiłków umysłowych.

Władze oświatowe Francji i pedagodzy dyskutują obecnie, czy aby nie przyśpieszyć jeszcze rozwoju dzieci rozpoczynając szkołę podstawową już od lat pięciu.

Węgry

NA WĘGRZECH już w ubiegłym stuleciu zadecydowano, iż należy szkołę rozpoczynać mając lat sześć.

Ale coraz częściej się zdarza, iż do pierwszej klasy przyjmowane są dzieci, które sześciu lat jeszcze nie ukończyły. Przechodzą one więc tylko dodatkowe specjalne badania, mające na celu ustalenie stopnia rozwoju kandydatów na pierwszaków.

Przedszkoli mają Węgrzy nadal za mało jak na swoje potrzeby. Te jednak, które są, w ostatnich latach wyraźnie polepszyły swój poziom. W przedszkolu wychowawcy kładą szczególny nacisk na rozwój osobowości dziecka, jego samodzielności, inicjatywy i pomysłowości. Węgierscy pedagodzy wychodzą ze wszech miar słusznego założenia, iż wyzwalanie twórczych dyspozycji u wychowanków nie może być wynikiem przypadku, lecz powinno się wiązać ze znajomością otoczenia i świata. Tego też trzeba się nauczyć.

Te dzieci, które nie mogły się dostać do przedszkoli i przychodzą do szkoły nie „zaliczywszy", ani roku przedszkola — obowiązkowo muszą przejść 2—3 tygodniowy... kurs przygotowawczy. Odbywa się on zwykle w czasie wakacji, a „naukę" prowadzą wychowawczynie najlepszych przedszkoli.

Włochy

PRZEDSZKOLA istnieją tu przy większości państwowych szkół, szczególnie w miastach. Dzieci (w wieku 4—6 lat) przebywają tam od rana do obiadu. Przedszkola te są bezpłatne, nie licząc drobnych opłat za ołówki, zabawki, papier itd., jednak nie ma obowiązku kierowania tam dzieci.

Oprócz tych przedszkoli istnieją jeszcze podobne placówki, lecz prowadzone przez różne instytucje, organizacje społeczne, religijne itp.

Program we wszystkich przeszkolach jest na ogół taki sam i nie ogranicza się tylko do zabaw czy prostego majsterkowania. Dzieci oprócz rysunków i podobnych zajęć rozwiązują najprostsze zadania matematyczne i logiczne. W myśl założeń jest to coś w rodzaju treningu przed startem do prawdziwej nauki.

Aktualnie we Włoszech dyskutuje się nad wprowadzeniem reformy szkolnej, a obradujący w ubiegłym roku zjazd pedagogów zaproponował wprowadzenie przymusowej nauki przedszkolnej już w wieku lat czterech. Jak na razie obowiązkowym nauczaniem objęci są młodzi Włosi od szóstego do trzynastego roku życia.

Anglia

SYSTEM SZKOLNICTWA w tym kraju jest niesłychanie skomplikowany. Tyle jest szkół różnych typów i stopni, że trudno tu mówić o jednolitym systemie.

W większości szkół rozpoczynający naukę mają lat pięć. Zrozumiałe, że te początki bardziej przypominają nasze przedszkola niż szkoły. Mali Brytyjczycy uczą się pojęć i znaków elementarnych przeplatając poważniejsze zajęcia zabawą. Dopiero następne klasy są bardziej „szkolne".

Obowiązek nauczania zaprowadzony został w Anglii 100 lat temu, wiele budynków szkolnych — fachowcy obliczają, iż około 200 — pochodzi z ubiegłego stulecia. Corocznie przed nowym rokiem szkolnym rozpętuje się więc dyskusja nad modernizacją nie tylko samego procesu nauczania, ale i sal szkolnych. Nie znaczy to, że wszyscy Anglicy uczą się w ruderach, natomiast świadczy o ogromnym konserwatyzmie mieszkańców wyspy. Jednym z przejawów owego konserwatyzmu była niechęć Anglików do... nauki języków obcych. Dopiero ostatnio została ona nieco przełamana i istnieje tendencja, aby dzieci od ósmego roku życia uczyły się jakiegoś języka oprócz swego rodzimego.

ZSRR

W KRAJU RAD programy szkolne są bardzo trudne, wobec czego pedagodzy radzieccy uważają, iż do klasy pierwszej można zapisać dopiero siedmiolatka i to po uprzednim przygotowaniu go w przedszkolu.

Program przedszkoli jest również na wysokim poziomie. Dzieci między szóstym a siódmym rokiem życia liczą tutaj „na słuch", określają formy geometryczne, zapoznają się z pojęciami: wielkości, wysokości, szerokości. Uzupełnieniem tych zajęć jest muzyka, plastyka, ćwiczenia gimnastyczne. Uwaga! Stawia się też coś w rodzaju „stopni".

Obecnie realizowana jest w ZSRR — podobnie jak u nas — reforma szkolnictwa. W myśl jej założeń programy dla klas od I do III ulegną modernizacji. Będzie się tam zaznajamiać uczniów z początkami algebry, geometrii i wyższej matematyki, podstawami genetyki, a nawet zasadami funkcjonowania maszyn elektronowych.

Reforma szkolnictwa ma doprowadzić do wprowadzania powszechnego obowiązku wykształcenia średniego.





CZY WARTO SIĘ ANGAŻOWAĆ?



Piszę do Was, bo właśnie zaczyna się nowy rok szkolny i nie wiem, jak sobie poradzić. Znowu zacznie się wszystko od początku:

W klasie to ja jestem taka „dyskutantka". Dlatego nie lubią mnie nauczyciele. To znaczy nie zawsze. Bo lubią mnie np., kiedy nasza szkoła zajmuje pierwsze miejsce na Festiwalu Małych Form Artystycznych za przygotowany przeze mnie program. Ale kiedy w maju ub. roku napisałam w naszym pisemku artykuł pt. „Które lekcje lubię, a których nie i dlaczego" — to bardzo mnie nie lubili.

Koleżanki i koledzy mówią na mnie „frajerka", bo często daję się „wrobić" w jakąś pracę, przy której żadne z nich palcem by nie ruszyło. Np. w marcu zachorowała pani bibliotekarka i w całej szkole nie znalazł się nikt, kto by pomógł przy dyżurach w czytelni. Patrzono na mnie jak na wariatkę, że zamiast pójść z kimś na spacer albo do kina siedzę codziennie nad oprawą czasopism, katalogami itd. A przecież z czytelni korzysta cała szkoła. Wydawało mi się, że trzeba pomóc.

W domu też jest podobnie. Ja jestem „ta trudna młodzież", bo mam własne zdanie i gotowa jestem bronić go do upadłego. Młodsza siostra nigdy nie dyskutuje, ze wszystkim się zgadza, a potem robi swoje i wygodnie sobie żyje, mając opinię „posłusznej córeczki". Czasami chciałabym się zmienić i postępować podobnie jak ona. Mówią mi, „ty jesteś materiał na człowieka", ale nie wiem czy to pochwała czy też takie „pogłaskanie po głowie". Bo to znaczy, że kiedyś w przyszłości zostanę człowiekiem. Więc czym jestem w takim razie teraz?

Nie potrafię sama rozgryźć problemu, czy warto się angażować, czy może lepiej nie?

Anka Z.

Drukujemy list Anki. Problem przez nią poruszony wydaje nam się interesujący. Przeczytajcie i zastanówcie się nad nim. Napiszcie:

- **co sądzicie o kłopotach Anki?**
- **w jaki sposób Wy staracie się udowodnić swoje racje?**
- **na jakie napotykacie trudności?**
- **czy sądzicie, że zaangażowanie „się opłaca"!**

Tę pierwszą powakacyjną dyskusję proponujemy nazwać: CZY WARTO SIĘ ANGAŻOWAĆ? Klub Nastolatków czeka na Wasze listy. Na kopercie zaznaczcie tytuł dyskusji: „Czy warto się angażować?" (hc)

Foto: K. Adamowski



Za minutę Eksplozja!

C. d. ze str. 1

Chłopaka ugryzł jakiś owad, wdało się zapalenie, pilot musiał wystartować sam.

Nastroił radio na jakąś falę z muzyką, poprawił pasy spadochronu, spojrzał w dół. Pod nim zieleniła się bezkresna amazońska dżungla. Nagle wesoła muzyka w słuchawkach lotniczego hełmu kapitana ucichła jak nożem uciął...

Ta sama straszna twarz

Kątem oka kpt. Dines ujrzał czyjąś rękę szarpiącą koniec radiowego kabla. A w chwilę później dostrzegł tę samą straszną twarz, którą wczoraj widział w bazie w gazecie — twarz ściganego przestępcy. Odwrócił głowę. Tamten — zarośnięty jak jakiś leśny zwierz — ściskał w dłoni granat. Ruchem ręki nakazał Dinesowi zdjąć skórzany hełmofon.

Pilot postanowił błyskawicznie, że zachowa pozory uległości, by zyskać na czasie. Jego przeciwnik nie znał żartów, miał na sumieniu niejedno ludzkie życie. Dines zdjął więc powoli hełmofon z głowy, powiesił na wolancie sterowniczym, po czym równie powoli wyjął z ręki powietrznego pirata końcówkę radiowego kabla i wetknął ją na swoje miejsce.

Leć do Wenezueli!

JUAN PEREZ — człowiek z granatem w ręku — zbliżył twarz do ucha pilota:

— Leć do Wenezueli! — wrzasnął przekrzykując szum silnika.

— Zabraknie mi paliwa... — odkrzyknął kpt. Dines.

— Masz pełne zbiorniki, widziałem. Nie kłam, bo... — zamachnął się trzymanym w ręce granatem, ale Dines spostrzegł, że w jego oczach czaił się strach.

— Nie po to uciekałem im przez dziesięć dni przez dżunglę! — wrzeszczał znow przestępca. — Nie po to siedziałem całą noc w twoim przeklętym pudle! To moja jedyna szansa! Jak najdalej stąd. Nie mam już powrotu...

Samolot zatoczył łuk i skierował swój lot na północ. Była godzina 9.30.

Tajemnicze sygnały

O godz. 11.00 radiooperator ekipy geodezyjnej wytyczającej w dżungli trasę przyszłej autostrady — usłyszał w eterze jakieś tajemnicze stukanie. „Jakby analfabeta nadawał Morsem" — powiedział później dziennikarzom. Ale stukot ułożył się w logiczny ciąg: „BX-35"... kierunek północ... pół godziny granica... Wenezuela... bandyta Juan Perez...". I wtedy radiooperator geodetów natychmiast przełączył się na falę policyjną. W dziesięć minut później z jednego z brazylijskich lotnisk wojskowych ukrytych w dżungli, wystartowały dwa odrzutowce. Wkrótce miały w polu widzenia hydroplan kpt. Dinesa.

Naciskam czerwony guzik!

Hełmofon pilota już godzinę bujał się na wolancie. Dines przypomniał sobie, że radiostacja pokładowa jest włączona. Mając obie ręce oparte na wolancie, dotknął nieznacznie palcem membrany laryngofonu, który przesyła sygnały w eter. Carramba! Przecież takie dotknięcie usłyszy każdy, kto nastroi krótkofalówkę na jego falę! Niezgrabnie, tak, by nie spostrzegł Perez, zaczął wystukiwać po membranie litery tekstu.

Po jakimś czasie Dines dojrzał odrzutowce. Wiedział, że teraz ma szanse zaatakowania przeciwnika.

— Perez! — krzyknął do bandyty. — Popatrz na ten czerwony guzik. Nie polecę z tobą do Wenezueli! Nacisnę ten guzik i za minutę zapali się mój ładunek wskutek wybuchu. Taki mam rozkaz. Mam też spadochron, zdążę wyskoczyć, a ty? Patrz, naciskam!

Dojrzał w lusterku, jak blednie twarz przestępcy i rozszerzają się jego źrenice.

To było gorsze niż wybuch

W tym samym momencie Dines rzucił maszynę w stromą pikę. Bandyta zachwiał się, złapał za oparcie fotela. Jego granat potoczył się pod nogi pilota. Potworna siła odśrodkowa zgniatała Pereza. Zabrakło mu tchu, oczy wychodziły z orbit. Rozwarł dłonie. W tym momencie pilot wyrównał lot, a przestępca z całej siły wyrżnął głową o kant drzwi prowadzących do kabiny towarowej. Zwinięty w kłębek, osunął się bez zmysłów na podłogę...

Oba odrzutowce krążyły aż do momentu wodowania hydroplanu „BX-35" na najbliższym jeziorze. Kapitan Dines zameldował przez radio, że związał przestępcę i zamknął w kabinie towarowej. Wolałby jednak nie transportować go, bo czuje się raczej dziwnie i najchętniej napiłby się w tej chwili mocnej, gorącej kawy. Potem kapitan Manuel Dines wyciągnął się wygodnie w swoim lotniczym fotelu, zapalił papierosa i nacisnął... czerwony guzik. Ten guzik bowiem uruchamiał wentylację kabiny.

W dwie godziny później, znacząc na wodzie pieniste ślady, wylądowały obok „BX-35" dwa policyjne hydroplany.

JAN STYKOWSKI
Ilustr. H. Chmielewski

Nasi koledzy w innych krajach

1 : 0 DLA UCZNIÓW

W ramach nauczania zasad ruchu drogowego w jednej ze szkół średnich w Wiedniu policja drogowa sprawdziła sprawność rowerów, którymi uczniowie przyjeżdżali do szkoły. Kontrola wypadła znakomicie: na 300 sprawdzonych rowerów uczniowskich tylko dwa miały braki techniczne.

Ze względów pedagogicznych policja sprawdziła również rowery używane przez niektórych nauczycieli. Rezultat był niepomyślny dla pedagogów: wszystkie rowery posiadały tak poważne mankamenty, że nie zostały dopuszczone do dalszej jazdy po wiedeńskich ulicach. (jk).

SZKOŁA W CIENIU DRZEW

● W mauretańskiej wsi Szingeti nie było ani jednego mieszkańca, który potrafiłby czytać i pisać. Dopiero po wyzwoleniu się z francuskiego ucisku kolonialnego, we wsi założono szkołę. Czterysta dzieci zasiadło w ławkach, poznało litery alfabetu, opanowało sztukę czytania. Dzieci przychodzą do szkoły z wielką ochotą. To prawda, że i w szkole inaczej się siedzi, jeśli nie ma nad głową dachu. Ale w mauretańskim klimacie dach nie jest potrzebny. Ławki stoją po prostu w cieniu drzew.

CHOCHLIK DRUKARSKI DZIAŁA

W poprzednim numerze, w części nakładu, na stronie drugiej, w podpisie do zdjęcia zamieszczonego u dołu chochlik drukarski sprawił, że pierwsze zdanie ma niewłaściwą wymowę. Winno ono brzmieć:

W rejonie Limassolu, na wrzynającym się w morze półwyspie Akrotiri Anglicy, DO NIEDAWNA kolonialni władcy Cypru, założyli potężną bazę wojskową.



O ZAMKU WARSZAWSKIM
w obozie jenieckim

EDEK CZERPIŃSKI chodził dumny jak paw. Nic dziwnego po ostatniej akademii warszawskiej, po wydaniu organu prasowego Jenieckiego Koła Przyjaciół Warszawy — „Stolicy" odbierał zewsząd gorące gratulacje, wśród których znalazły się również słowa uznania mieszkańców podoficerskiego baraku, niezwykle zazdrosnych o każdą inicjatywę szeregowych.

I teraz, wrześniowego dnia 1940 roku, jego wysoka, szczupła postać, o wiecznie zamyślonym spojrzeniu, przemierzała główną obozową drogę, kombinując zapewne jakiś nowy intelektualny skok.

Szeroka aleja obozowa obwiedziona krawężnikami polnych kamieni jak żywo przypominającymi nasze rodzime warszawskie „kocie łby" już dawno, dzięki Edkowi, nosiła nazwę Warszawskiej Drogi. Kończyła się ta droga na niewielkim placyku, otoczonym murowanymi barakami ze starej gotyckiej cegły, służącymi zapewne w dalekiej przeszłości za pomieszczenia folwarczne pobliskiemu majątkowi.

Placyk otrzymał nazwę, która szybko przyswoiła się, szczególnie wśród jeńców ze stołecznym rodowodem. „Plac Zamkowy", w środku którego strzelał w niebiosa smukły słup betonowy — „Kolumna Zygmunta", zwieńczony u szczytu splotem reflektorów, rzucających nocą smugi jaskrawego światła na zegar umieszczony na starej, nieczynnej już wieży ciśnień, był miejscem przedapelowych spacerów warszawskich rodaków.

Stara norymberska wieża z zegarem, która dobiegała swego żywota, z biegiem czasu uzupełniła stołeczny słownik — przywodziła na pamięć jeden z elementów architektonicznych warszawskiego Zamku — Zegarową Wieżę.

Właśnie tą „staromiejską trasą" zbliżał się Edek Czerpiński do kanału melioracyjnego, toczącego leniwie swe mizerne wody przez cały obóz, by wreszcie przycupnąć nad jego brzegiem.

Niezauważony przez zamyślonego intelektualistę zajął przed chwilą miejsce na betonowym chodniku „Podzamcza" nieodłączny kumpel Edka, Jasio Szewc.

Obu łączyła gorąca miłość do Warszawy, co nie przeszkadzało im wykłócać się o prymat piękności ich rodzinnych dzielnic.

Ulica Freta, gdzie Jasio ujrzał światło dzienne, Kamienne Schodki, Bugaj, Rybaki i wreszcie Podzamcze Zamkowe, pełne zarośli, miejsca potyczek „Szwedów" i „Kmiciców", były jego światem młodości, któremu Edek przeciwstawiał uroki mokotowskich skarp, malownicze zarośla sadzawek.



Do staromiejskiego patrioty nie docierały nawet wartości mokotowskich zabytków architektury — pałacyk Szustra i malownicza, pełna zieleni Królikarnia.

— Cóż jest wart wasz „gołębnik", na którym nawet nie ma nędznego czasomierza? — złośliwie pytał chłopak ze Starówki mokotowskiego cwaniaka.

— Ale dla Basi, Krysi, pana Wołodyjowskiego i Zagłoby to na Starówce noclegu nie było. Musieli furgać do nas na Mokotów do pałacyku polskiego Szkota — odcinał się Edek.

Ożywioną dyskusję lokalnych patriotów przerwał, przysiadłszy się, „Salonowiec".

Na kołnierzu jego munduru błyszczały wypucowane do idealnego połysku „herby", które świeciły w oczy dwoma stylizowanymi literami „BS", otoczonymi trudnymi do rozeznania stylizowanymi listkami. Biegli w wojskowych służbach bez trudu rozpoznawali, z kim mają do czynienia. Powołany tuż przed wybuchem wojny Batalion Stołeczny, w skład którego wchodzili najbardziej urodziwi i dobrze prezentujący się elewowie szkół podoficerskich, pełnił reprezentacyjne służby na warszawskim Zamku.

Wojtek Suchecki, wysoki i smukły jak polska topola, o falujących blond włosach, nieodrodne dziecię polskiej wsi, tuż przed wybuchem wojny znalazł się na salonach Zamku, skąd przyniósł do obozu maniery na miarę co najmniej generalskich wężyków.

Nie obeszło się i tym razem bez wspomnień.

Wsłuchani w opowieści tych dwu chłopców, dowiadywaliśmy się o ich drodze do płonącego Zamku. Janek Szewc po rozbiciu jego pułku znalazł się w szeregach obrońców Warszawy, gdzie resztki kompanii zajęły stanowiska obronne na Podzamczu. Wojtek Suchecki zaś jako stały bywalec reprezentacyjnych sal wraz ze swymi towarzyszami broni spod znaku „BS" zabezpieczali całość i bezpieczeństwo opuszczonych przez Prezydenta bezcennych zabytków historii.

Słuchający z ogromnym zainteresowaniem zamkowych wspomnień Edek Czerpiński to medytował, to kreślił coś na skrawku starej tektury, by wreszcie rzucić w naszą stronę:

— Robimy Zamek!...

— ??

Na widok naszych mocno zdziwionych fizjonomii Edek wyjaśnił swoje zamiary:

— „Salonowiec" i „Or-Ot" opowiedzą na Zamkowej akademii to, co opowiadali przed chwilą.

Na takie dictum Wojtek, który jeszcze nigdy nie parał się oratorstwem, szukał pomocy u swego zamkowego kumpla Jasia Szewca, którego jedyną odpowiedzią było serdeczne poklepywanie.

— Damy radę!

Edek nigdy nie rzucał słów na wiatr. Nie minął dzień, a warszawski barak pod niezawodnym ubezpieczeniem Wacka Gąsiorowskiego przeżywał historię Zamku w wykonaniu oratorskiego duetu Janka Szewca i Wojtka Sucheckiego. Nie zawiedli, o czym mogły świadczyć serdeczne oklaski zaproszonych gości.

Nie zawiódł również i sam Edek Czerpiński, o którego ciągotach do poezji wiedzieli najbliżsi jego sąsiedzi z jenieckich prycz. Z jego osobą łączono liczne pamflety wypisywane na ścianach obozowych baraków.

Obecnie z zaimprowizowanej sceny — drewnianego taboretu — padały słowa Edkowej poezji, której, niestety, sam nie mógł recytować. Już od kilku dni zapuchnięte, chore gardło utrudniało mu mówienie.

Dlaczego mnie wyznaczył do roli recytatora, pozostało tajemnicą do dnia dzisiejszego. Nigdy przecież nie byłem aktorem, nigdy nie pracowałem w teatrze.

Jenieckie audytorium po raz pierwszy było świadkiem mojego aktorskiego występu. Rozpocząłem:

W oparach dymu, ognia, brunatnej kurzawy,
Ginie stolica, płonie jej symbol —
Zamek Warszawy.
Na nic obrona. Ogień szybciej bieży
Jest coraz bliżej zamkowej wieży.
Zamarło mierzące historię — zegara serce,
Ranione ramiona — wskazówki nie ruszą się więcej.
Nie doczekało uderzeń dwanaście.
Stanęło... jedenasta pięćdziesiąt...

Kończąc obserwowałem twarze starych wiarusów. Nie było braw. Widać było wzruszenie, widziałem niejedną łzę ukradkiem ścieraną z wychudzonych policzków.

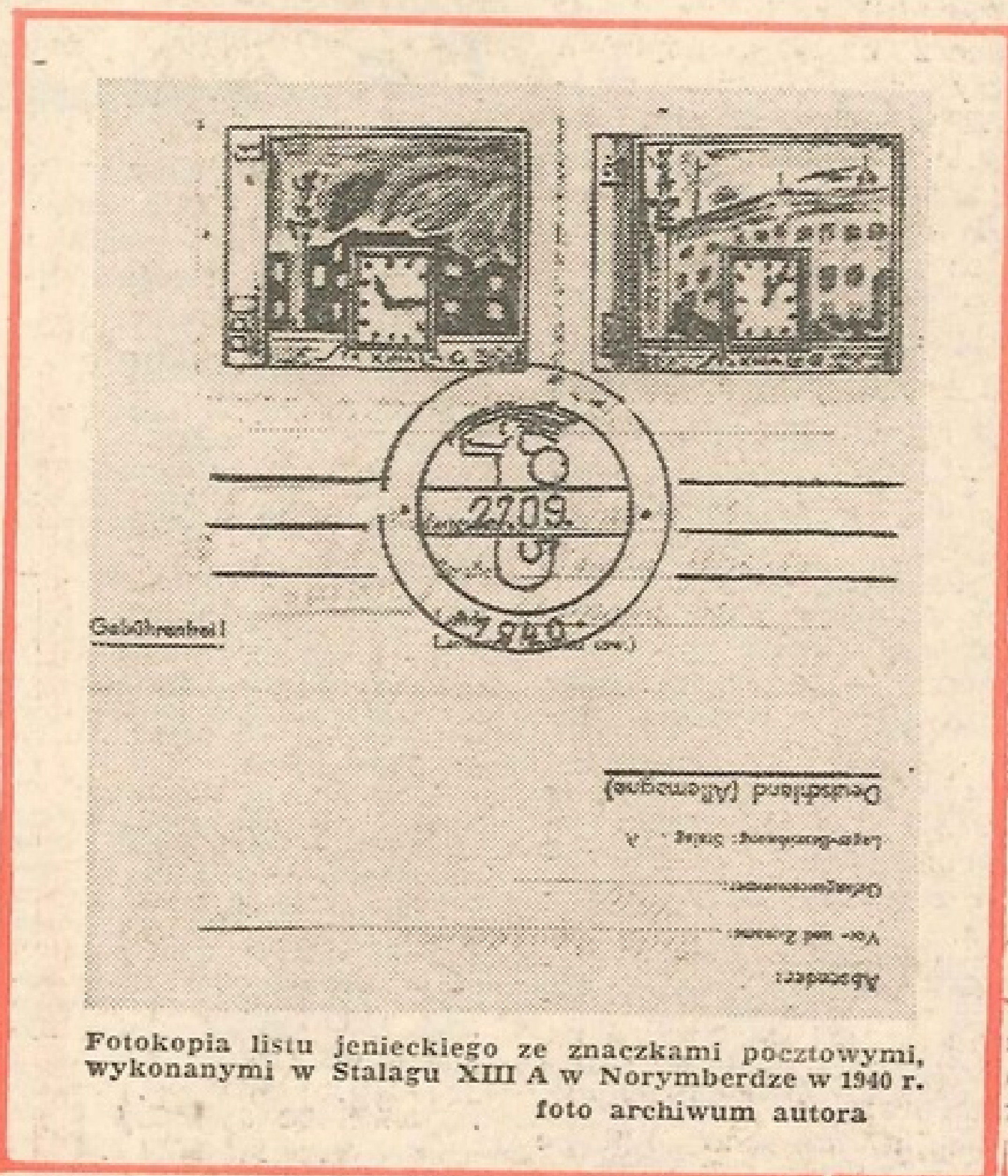
Na zakończenie odbyła się ruchoma wystawa okolicznościowych pamiątek zamkowego dnia. Dwa znaczki pocztowe z datownikiem osiągnęły natychmiastową cenę pięćset sztuk „Junaków", ceny dawno nie notowanej na jenieckich aukcjach filatelistycznych. Nieco niższą osiągnęła jednodniówka „Zamek". Z dziesięciu egzemplarzy natychmiast jeden powędrował do archiwum Jenieckiego Koła Przyjaciół Warszawy, a mówiąc ściślej, do mojego wojennego chlebaka.

Edek miał powody do zadowolenia; jeszcze jedna impreza, której był „ojcem", strzeliła w dziesiątkę. W kilka dni po wspomnianym wieczorku na ścianie jednego z baraków białą kredą ktoś z jenieckich rąk nagryzmolił:

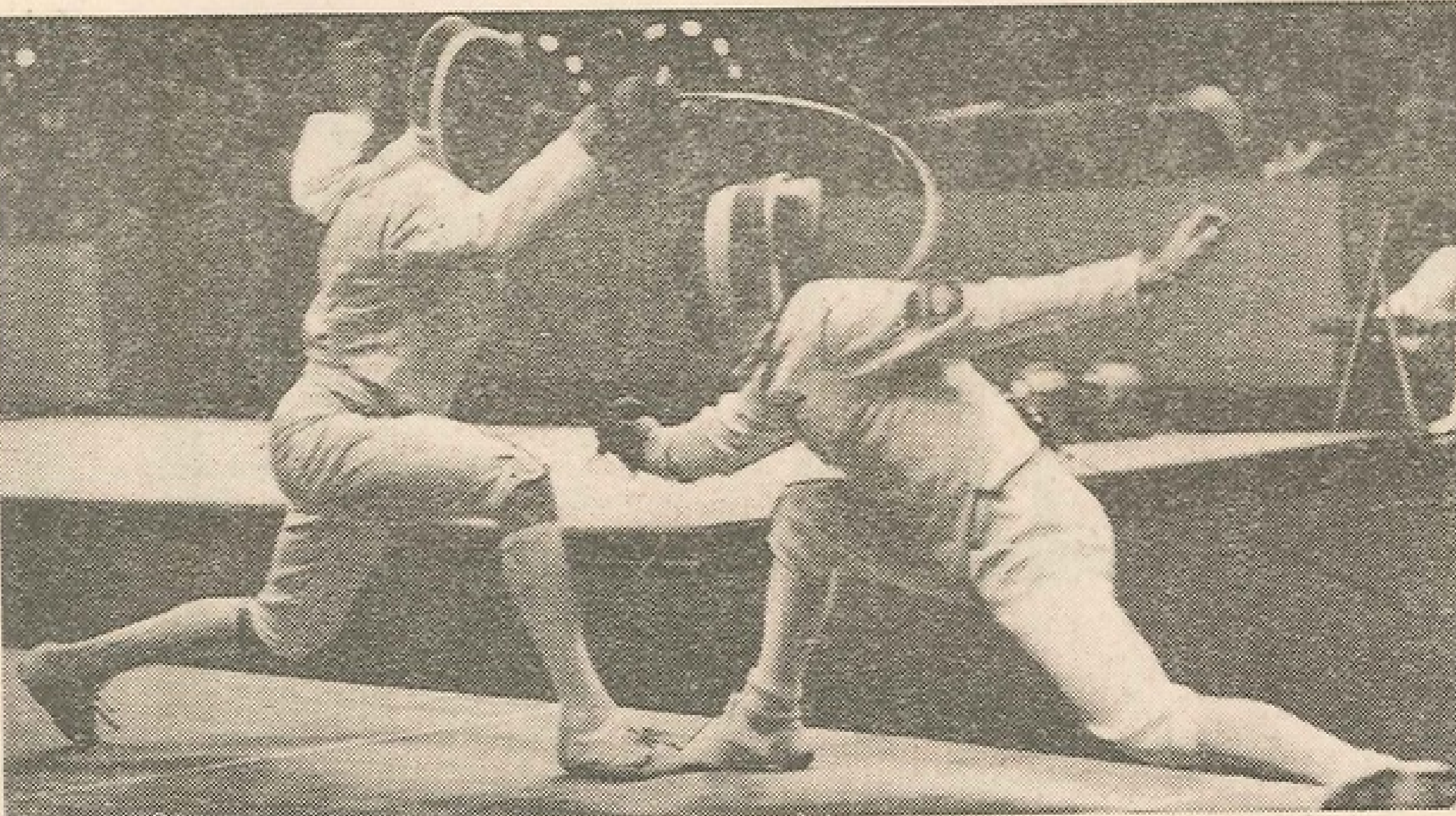
„Stanął zegar o godzinie jedenastej pięćdziesiąt.
Führer nie będzie stał.
Będzie wisiał za tygodni kilkanaście".

Czyżby znów Edek?

Opracował:
T. NIEWIADOMSKI



Fotokopia listu jenieckiego ze znaczkami pocztowymi, wykonanymi w Stalagu XIII A w Norymberdze w 1940 r.
foto archiwum autora



Finał floretu mężczyzn. Witold Woyda nie dał żadnych szans Rumunowi Tiu, zwyciężył bezapelacyjnie i zdobył złoty medal.

NASI wśród NAJLEPSZYCH

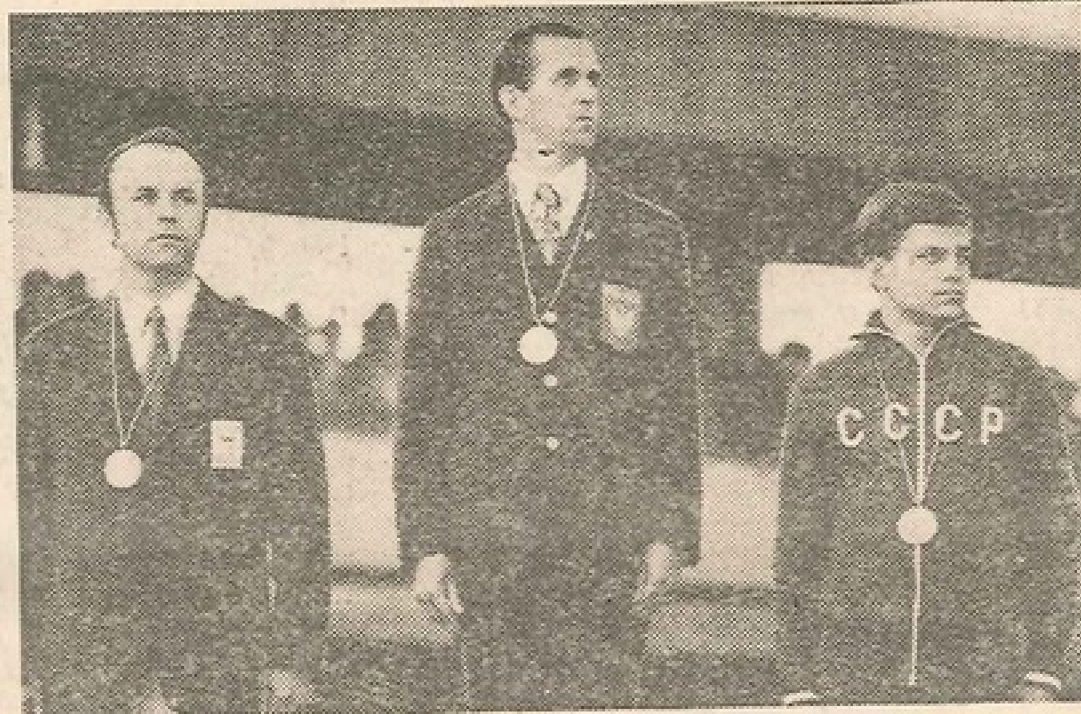
GDY piszemy te słowa, XX Igrzyska Olimpijskie minęły półmetek. Dziesiątki tysięcy widzów na monachijskich obiektach, miliony zgromadzonych przy odbiornikach telewizyjnych, obserwują zmagania najlepszych sportowców świata. Tegoroczne Igrzyska są rekordowymi nie tylko pod względem ilości startujących; tak wysokiego poziomu walki nie było dotąd w historii. Cieszy fakt, że do rywalizacji o pierwsze lokaty włączyli się reprezentanci Czarnego Lądu i Ameryki Południowej. Zniknęły białe plamy na sportowej mapie świata. W Monachium nie ma faworytów, nie ma pewniaków na końcowy sukces. Każdej konkurencji towarzyszą łzy radości, goryczy przegranej. My także mamy się z czego cieszyć i... smucić. Ale taki jest sport. A jego piękno polega na niespodziewanych sukcesach i porażkach.

Złota sztanga Smalcerza

PRZYPOMINACIE SOBIE zapewne, iż Zygmunta Smalcerza typowaliśmy jako jednego z naszych kandydatów do olimpijskiego medalu. I oto już w pierwszym dniu trwania zawodów przeżywamy wielką radość: w wadze muszej w turnieju ciężarowców nasz reprezentant staje na najwyższym podium, rozpoczynając drugą setkę medali wywalczonych przez Polaków w historii olimpijskich startów. Ale sukces nie przyszedł łatwo. W wyciskaniu Smalcerz uzyskał tyle samo kilogramów co Węgier Holzreiter — 112,5. Po rwaniu Polak obejmuje prowadzenie. Jednak wyrasta groźny rywal — Węgier Szuecs — z dalszej lokaty atakuje pozycję lidera. Mocno zbudowany zawodnik wykonuje fantastycznie podrzut i z łatwością dźwiga sztangę o wadze 127,5 kg. Jeżeli to samo uda mu się z ciężarem 135 kg, zostanie mistrzem olimpijskim. Udane podejście i będzie miał taki sam wynik jak Smalcerz, a ponieważ jest lżejszy od Polaka — jemu przypadnie złoto.

Podchodzi skupiony do sztangi, na widowni szmer podziwu i po chwili cisza. Wszyscy śledzą fantastyczną walkę Węgra z ciężarem lepszym od rekordu świata. Jednak nie udało się. Musiał uznać wyższość Zygmunta Smalcerza.

Waldemar Baszanowski i Jan Wojnowski, których również typowaliśmy do medali, zajęli czwarte miejsca! A Zbigniew Kaczmarek wywalczył brąz. Lecz sport pozbawiony niespodzianek nie miałby uroku. Oto Norbert Ozimek, nie zaliczany do grona faworytów, zdobywa srebrny medal.



Major Józef Zapędzki ze wzruszeniem słucha Mazurka Dąbrowskiego.

Sokole oko majora

PIERWSZEGO września o godz. 13,25 zdobywamy następny złoty medal. Wywalczył go nasz doskonały strzelec, major Józef Zapędzki. Jest to już drugie złoto olimpijskie tego zawodnika. Po pierwszych strzelaniach Polakowi nie szło najlepiej, zdarzały się „dziewiątki". W ogólnej klasyfikacji zajmował trzecią lokatę, za Ladislavem Faltą z Czechosłowacji i Rosjaninem Igorem Bakałowem.

Pistolet sylwetkowy nie jest łatwą konkurencją. Tarcza ukazuje się tylko na okres 8,6 i 4 sekund. W tym czasie należy trafić w maleńki jej środek. Z wielkim napięciem oczekiwaliśmy na ostatnią 4-sekundową serię strzelań. Czy Polak wytrzyma wielkie obciążenie, czy zdoła opanować drżenie ręki i nerwy w tym decydującym momencie? Wreszcie milkną strzały. Fantastycznie! Łączny wynik Zapędzkiego jest nowym rekordem olimpijskim. Przeciwnicy wypadli gorzej. A mistrz schował się w kącie strzelnicy i przeżywał swoją wielką radość.

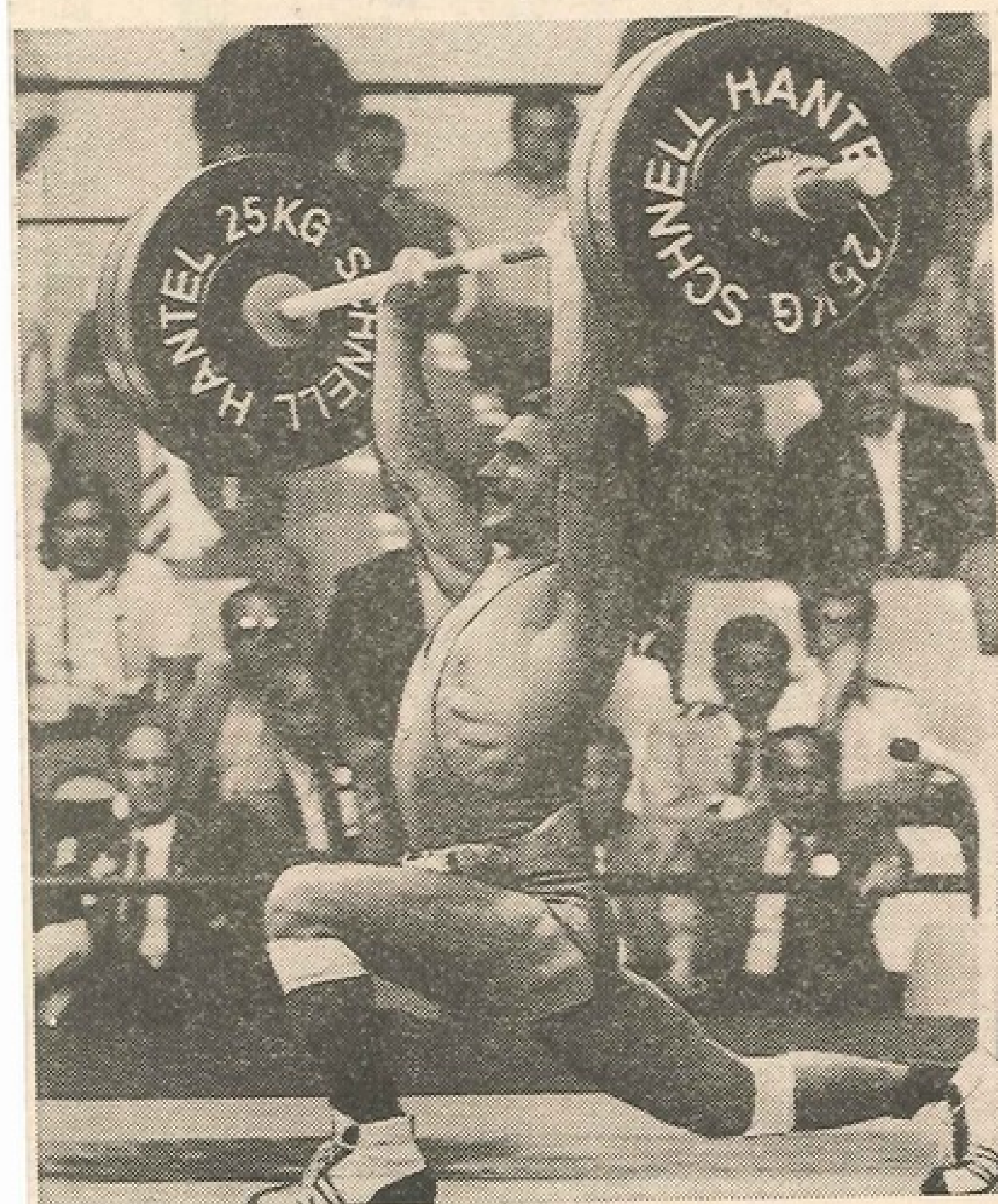
Mazurek Dąbrowskiego w hali szermierczej

PO RAZ PIERWSZY w historii olimpijskich turniejów indywidualnych floretu w finale znalazło się aż dwóch Polaków: Witold Woyda i Marek Dąbrowski. Bratobójczy pojedynek między naszymi reprezentantami wygrywa Woyda. Po pięciu walkach bez porażki są tylko Polak, Rumun Tiu i Węgier Kamuti. W spotkaniu z Węgrem Woyda wykazuje niesamowite opanowanie nerwowe. Potrafi nie tylko doprowadzić do remisu (pierwsze trafienia zadał Kamuti) ale także wygrywa walkę w stosunku 5:3. Później nasz florecista szaleje na planszy. Roznosi kolejnych rywali. W ostatnim kapitalnym pojedynku z Tiu Polak gromi Rumuna 5:0. Wspaniała chwila. Jest złoty medal! Woyda na ramionach przyjaciół opuszcza halę.

Finałowa walka drużyn floretowych. Polacy i Rosjanie. Pierwsze walki przegrywamy, jest 0:3. Chyba tylko „srebro". Ale oto na planszy staje Woyda i wygrywa z Koteszewem, a po chwili Koziejowski z Denisowem. Jednak Dąbrowski oddaje punkt Stankowiczowi. 4:2 dla ZSRR. Do walki staje ponownie Woyda. Romanow nie miał wiele do powiedzenia. 4:3. Kolejno Kaczmarek i Koziejowski także wygrywają swoje walki. Obejmujemy prowadzenie i nie oddajemy do końca spotkania. Radość ogromna, 9:5 dla Polski i biało-czerwona flaga na najwyższym maszcie.

Z. PRZYBYŁOWSKI

Mistrz olimpijski Zygmunt Smalcerz w pięknym stylu dźwignął rekordowy ciężar.



Pokój olimpijski i pokój na świecie

KIEDY przed rozpoczęciem Igrzysk Olimpijskich w Monachium, kraje „czarnej" Afryki zapowiedziały, iż nie wezmą udziału w olimpiadzie, jeśli do startu zostaną dopuszczeni sportowcy bezprawnie utworzonego państwa białych kolonizatorów, Rodezji Południowej, niektórzy działacze Komitetu Olimpijskiego twierdzili, że imprezy tej nie należy wiązać z polityką. Ostatecznie większość członków Komitetu przyznała rację krajom afrykańskim, bo nie można sztucznie oddzielić sportu od tego, co się dzieje na świecie.

Nikt wtedy jednak nie przypuszczał, że echa wydarzeń na świecie tak brutalnie wtargną aż na teren olimpijskiej wioski. Znacie już przebieg wydarzeń związanych z napadem grupy komandosów palestyńskich na jeden z budynków zamieszkałych przez ekipę Izraela. Znacie tragiczne tego skutki: 18 śmiertelnych ofiar, oburzenie światowej opinii publicznej na terrorystów palestyńskich, jednodniowa przerwa w igrzyskach. I bezsens tego kroku: utratę poparcia dla słusznej walki palestyńskich Arabów o prawo do własnej ojczyzny ze strony wielu tysięcy dotychczasowych sympatyków.

Delegacja Izraela opuściła olimpiadę ze zwłokami swoich kolegów na pokładzie samolotu. W obawie o swoje bezpieczeństwo wyjechały też z Monachium ekipy Egiptu i Syrii. Delegacja NRD otrzymała ostrzeżenie, że i jej grożą zamachy ze strony neofaszystów. Partyzanci z Irlandii Północnej rozrzucili na torze kolarskim ulotki wzywające do poparcia swojej walki. Boli nas, że atmosfera szlachetnej sportowej walki została zmącona. Życie jednak potwierdziło tylko brutalnie obiektywną prawdę: nie może być pokoju olimpijskiego, jeśli nie ma sprawiedliwego pokoju na świecie. (jm)

TELEFON ZAUFANIA

3 STANISŁAWA PLATÓWNA — Rys. J. Rocki

Michał Werner jednym spojrzeniem ogarnął króciutki tekst: „Nienawidzę kłamców — Stefan N.N.".

Zwrócił się ku rodzicom siedzącym teraz razem na kanapce. Trzymali się za ręce i to właśnie wzruszyło doktora bardziej niż bladość ich twarzy, niż łzy płynące z oczu kobiety.

— Trzeba działać — powiedział spokojnie — proszę o nazwisko i rysopis syna. Zadzwonię do kolegi, który ma dyżur, to on rozmawiał z synem. Złożył oficjalny meldunek w milicji.

Rozmowa z doktorem Rajewskim trwała krótko.

— Co pan mi radzi robić? — spytał ojciec chłopca, gdy Werner odłożył słuchawkę.

Doktor spojrzał na zegarek. Minęła północ.

— Już bardzo późno... no cóż, trudno. Niech pan rozejrzy się wśród znajomych, kolegów syna. Może jest u kogoś z rodziny, może u przyjaciela. Niech pan telefonuje, w takiej sprawie nie obowiązują konwenanse.

— Nie, nie. Nie mógłbym usiedzieć. Odłożę to do jutra. Zresztą jestem pewien, że Stefan wyszedł z domu bez określonego celu.

— Więc niech pan weźmie wóz i pojeździ po mieście. Niech pan zwraca szczególną uwagę na ustronne skwerki, parki, nadbrzeża Odry, domy przeznaczone do rozbiórki, niewykończone budowy. Ja będę szukał na własną rękę. Acha, byłbym zapomniał. Poproszę o fotografię chłopca, możliwie aktualną.

— Pan też będzie szukał? Dlaczego? Z jakiej racji? — pytał ze zdumieniem pan Lewandowski grzebiąc równocześnie w stercie zdjęć. — Przecież... Prawda, nawet nie podziękowałem panu za trud.. zarwał pan kawał nocy. Proszę, to ostatnie zdjęcie syna, robione do legitymacji. Dziękuję panu bardzo, sam nie wiem...

— Głupstwo. Pan pyta dlaczego... z jakiej racji? Przeżyłem coś podobnego... dawno... minęły już trzy lata. Mniejsza z tym. Mam wasz telefon, w razie czego dzwonię. A tu jest mój adres i telefon — podał panu Lewandowskiemu karteczkę i rzucił okiem na kobietę.

Nie płakała już, twarz miała bladą, zaczerwienione oczy i rozrzucone włosy. Szeptała:

— Dowiedział się... skąd... kto?

Przeraziła go bladość jej twarzy i głębokie cienie wokół oczu. Ujął rękę w przegubie, wymacał puls. Był bardzo szybki i nieregularny.

— Niech pan da żonie jakiś środek uspokajający. I może niech pan nie wychodzi teraz, ona nie powinna być sama.

Kobieta potrząsnęła głową nie patrząc na męża, powiedziała normalnym głosem:

— Jedź. Nic mi nie jest. To tylko nerwy. Jedź! — krzyknęła nagle. — Słyszysz? Szukaj go! On... to twoja wina!

Wstała z kanapy i przeszła obok mężczyzn nie patrząc na nich. Po chwili stuknęły drzwi pokoju, w którym spała córeczka. Doktor Werner dotknął ramienia mężczyzny.

— Chodźmy.

Wyszli stąpając ostrożnie wśród zalegających podłogę książek. Już na ulicy pan Lewandowski pociągnął doktora Wernera pod latarnię i pokazał mu niewielkie czerwone pudełko.

— Niech pan spojrzy — powiedział — nie chciałem o tym mówić przy żonie, ale... może to ma jakieś znaczenie. W tym pudełku przechowywałem moje odznaczenia. Krzyż Partyzancki, Krzyż Walecznych, Medal za Odrę, Nysę i Bałtyk. Zniknęły. Został tylko Medal X-lecia PRL i Srebrny Krzyż Zasługi.

— Jest pan pewien, że zniknęły teraz, dzisiaj?

— Tak. Kilka dni temu brałem udział w pewnej uroczystości. Spotkanie kombatantów... Przypiąłem wszystkie odznaczenia, a potem na pewno je schowałem. Zresztą mogłem zgubić jedno, ale przecież nie wszystkie trzy! Czy to według pana coś znaczy?

— Sądzę, że tak, ale teraz i tak nie dojdziemy prawdy. Nie traćmy czasu, jedźmy.

Rozeszli się, każdy poszedł do swojego wozu. Doktor Werner otworzył Syrenę, zawahał się, potrząsnął głową i podbiegł do ruszającego Trabanta.

— Chwileczkę! — zawołał.

Pan Lewandowski wychylił się przez okno.

— O co chodzi?

— Dlaczego pańska żona powiedziała: „To twoja wina"?

— Nie wiem. Kobieca egzaltacja. Nerwy.

— Nie wygląda na egzaltowaną.

— Nie wiem — powtórzył Lewandowski — może miała na myśli — zawahał się — mój stosunek do córki. Bardzo ją kocham.

— Bardziej niż chłopca?

Mężczyzna zacisnął usta i Werner pomyślał, że nie powie mu prawdy. Jednak po dłuższej chwili usłyszał:

— Tak.

— On o tym wiedział?

— Chyba... tak!

— Niech pan jedzie.

*

Pani Anna weszła do pokoiku syna. Była tu już wcześniej, na biurku chłopca znalazła przecież ów list czy raczej manifest. Ale dopiero teraz rozejrzała się uważnie, jakby po raz pierwszy zobaczyła to małe ciasne pomieszczenie, w którym żył jej syn i z którego uciekł.

Stała wciąż w progu i przenosiła wzrok z jednego przedmiotu na drugi, jakby spodziewając się, że w ten sposób zrozumie, znajdzie odpowiedź, pojmie, co skłoniło Stefana do ucieczki, do napisania tych bezlitosnych, równocześnie rozpaczliwych słów. Instynktownie czuła, że za postępkiem syna kryje się coś więcej niż wstrząs wywołany odkryciem starannie ukrywanej tajemnicy. To nie mogło być tylko to...

Schyliła się i podniosła gruby tom leżący na podłodze. Była to Mała Encyklopedia Powszechna, Stefan dostał ją w tym roku na urodziny. Pamiętała, że na karcie tytułowej mąż wpisał kilka słów. Otworzyła książkę, kartki z dedykacją nie było. Po chwili zauważyła pod stopami zmiętą kartkę papieru. Podniosła ją i rozprostowała starannie. „Kochanemu Stefkowi w dniu urodzin od Ojca" — głosiły duże, energiczne litery. Inne prezenty otrzymane od ojca leżały rzucone byle jak na tapczanie, zegarek, płyty, modne sztruksowe spodnie... Dlaczego to zrobił? Dlaczego zadał sobie trud wyszukania tych rzeczy i pozostawił je w widocznym miejscu? Przeszukała jeszcze raz tapczan, prezentów od niej — nie było. Dlaczego?

Mijają minuty, kwadranse, wreszcie godziny, kobieta wciąż klęczy nie czując bólu w ścierpniętych kolanach i pochylonym grzbiecie.

Dzwonek telefonu poderwał ją na nogi. W dzikim pośpiechu, potrącając po drodze sprzęty dopadła do aparatu, podniosła słuchawkę. Może to...

To nie był Stefan. Dzwonił mąż, niespokojny o nią; prosił, by położyła się do łóżka, odpoczęła trochę. Nie, nie natrafił na żaden ślad, choć przemierzył miasto wzdłuż i wszerz kilkakrotnie.

— Połóż się Aniu, musisz być straszliwie zmęczona, jutro też czeka nas ciężki dzień — powiedział i odłożył słuchawkę.

Pani Anna opadła na fotel stojący obok biurka. Patrzyła na okropny bałagan, na rozrzucone sterty książek i papierów, na stos zdjęć zalegający stół i nie miała siły, by wstać, sprzątnąć, ułożyć, poskładać. Była bardzo zmęczona, do tego stopnia zmęczona i rozbita, że nie potrafiła już myśleć. W jej biednej skołatanej głowie tłukły się jakieś strzępy zdań, obrazów...

Widziała Stefana, jak siedzi przy biurku zatopiony w książce, z palcami wsuniętymi w gęste, jasne włosy, jak pochylony nad adapterem, przymknąwszy oczy, słucha muzyki, jak rysuje coś na białym kartonie wysunąwszy nieświadomie język, jak cwałuje wokół stołu rżąc i kwicząc, bo malej Monice zachciało się, aby był koniem, jak z poszarzałą twarzą i suchymi oczyma otula w kolorowe szmatki i układa w pudełku psa Mikusia, który zdechł, zjadłszy trutkę na szczury, wyłożoną w piwnicy. Jej syn! Jej Stefan! Była pewna, że zna na wylot swoje dziecko, że nic nie ukryje się przed jej okiem. Myliła się. Stefan nosił w sobie odkrytą nie wiadomo kiedy i jak tajemnicę, a ona nie domyślała się tego. Szarpał się, męczył, zmagał ze swoim cierpieniem samotnie, a ona o niczym nie wiedziała! Co musiał czuć, co przeżywał skoro zdecydował się na krok tak rozpaczliwy?



C.d.n.

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA i SPORTOWA" RSW „Prasa" Warszawa, ul. Bagatela 14. Dyrektor Wydawnictwa, tel. 28-09-73. Dział Wydawniczy, tel. — 29-35-52. Biuro Ogłoszeń — Warszawa, ul. Bagatela 14, tel. — 21-21-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" W-wa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.30, kwartalna zł 13.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr 1-1-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", W-wa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" Warszawa ul. Wronia 23, konto PKO 1-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Towarowa 28. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. KOTOWSKA 24. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

Zam. 3440. A-60

ŁOWCY AUTOGRAFÓW

Kolekcje Wojtka i Doroty

Z moją młodziutką przyjaciółką Dorotą W. umówiłam się w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki „Ruch”.

— Lubię tu przychodzić, bo mogę sobie pooglądać zagraniczne pisma ilustrowane — powiedziała mi na wstępie.

— Czy przyniosłaś swój pamiętnik z autografami aktorów i piosenkarzy?

— Tak, ale nie rozumiem po co, przecież tyle razy go już oglądałaś...

— Otóż widzisz, chcę byś opowiedziała mi, jak zbierasz autografy.

— Nie zbieram autografów „na oślep” i jak popadnie — to moja pierwsza zasada. Po drugie, nie mam zwyczaju podchodzić do osoby, o której nigdy w życiu nie słyszałam. Przecież to śmieszne brać autograf od kogoś nieznanego tylko dlatego, że robią to inni. A jak okaże się, że to jakiś przebrany wesołek, który chciał po prostu zakpić z takich niemądrych łowców...

Tu spojrzała na mnie z wymownym uśmiechem. Przypomniała mi tym samym mój eksperyment na Festiwalu w Sopocie, gdzie odpowiednio ucharakteryzowana udawałam zagraniczną „gwiazdę” i rozdzielałam autografy na prawo i lewo...

— Ale wracajmy do rzeczy. Może przejrzymy twój pamiętnik?

Pamiętnik jest gruby, dość duży o twardych, granatowych okładkach. Wewnątrz powklejane fotografie. Przy każdym zdjęciu autograf, a właściwie różnego rodzaju dedykacje.

„Kochanej i ślicznej Dorocie najlepsze życzenia i całusy składa — Kloss-Mikulski”. „Szanownej pannie Dorocie na pamiątkę spektaklu „Tajemniczy Ogród” — Danuta Przesmycka”. „Miłej Dorotce, stałej wielbicielce baletu — Janina Galikowska — „Kopciuszek” i Janusz Smoliński — „Książę”.

Takich i podobnych dedykacji jest wiele. Dorota bardzo się nimi szczyci, no bo czyż nie jest to powód do dumy, gdy w pamiętniku figurują takie sławy jak: Barbara Krafftówna, Zdzisława Sośnicka, „Czterej Pancerni”, Jerzy Połomski, baletmistrz — Stanisław Szymański, Danuta Rinn, Anna German, Sława Przybylska. Marek Perepeczko, Mieczysław Fogg... Wszyscy złożyli swe dedykacje dla Doroty, wymieniając jej imię i wpisując jakieś miłe życzenia.

— Jest z tym oczywiście trochę kłopotu — informuje mnie Dorota — bo trzeba znaleźć właściwy moment, aby aktor miał czas i mógł napisać coś więcej, a nie tylko złożyć swój podpis. Dlatego często chodzę do teatru i na różne koncerty. W przerwie, lub jeszcze lepiej przed spektaklem idę za kulisy, przedstawiam się, pokazuję swój pamiętnik...

Zwykle aktorzy są bardzo ciekawi, kogo „goszczę” na kartkach mego pamiętnika. Przeglądają zdjęcia swych kolegów. Bardzo często wtedy sami dają mi swoje zdjęcia, abym je także wkleiła, lub jeśli już znajdą swój fotos w moim pamiętniku (bo najczęściej wklejam go wcześniej, przed pójściem na koncert), są mile zaskoczeni i piszą mi wiele serdecznych słów. Często rozmawiają ze mną, a ja staram się wtedy „błysnąć” wiadomościami o nich.

— Czy rzeczywiście z każdą osobą, która ci się wpisała rozmawiałaś osobiście?

— Naturalnie! Nie wyobrażam sobie inaczej. Dlatego nie lubię wszelkich festiwali i ogromnych imprez, gdzie zwykle panuje straszny tłok i nie ma możliwości porozmawiania.

— No, a gdybyś była w Sopocie podczas Festiwalu, czy zrezygnowałabyś ze zbierania autografów?

— Nie, ale starałabym wymyśleć sobie jakąś metodę. Można przecież w takich utrudnionych przypadkach wykorzystać znajomości np. z bileterem, z kelnerem, z fryzjerem gwiazdy, z kierowcą autokaru, który wozi gwiazdy na próby. Jak ich grzecznie poprosić, ułatwią kontakt. Grunt, aby działać indywidualnie, a nie w tłumie. Poza tym zbierałabym podpisy nie tak jak



„leci”, a tylko od tych, o których już coś wiem choćby z pism zagranicznych.

— Ach, to dlatego tak lubisz przychodzić do Klubu Prasy?

— Tak, choć samo oglądanie pism to jeszcze nie wszystko. Dobrze jest znać jakiś język. Właśnie zaczęłam się uczyć rosyjskiego. Znam kilka zwrotów po angielsku i niemiecku. Staram się jeszcze rozszerzyć swe wiadomości, o każdej gwieździe piosenkarskiej, której autograf mam w pamiętniku. Oprócz fotosów, mam teksty ich piosenek. Wiem, które piosenki z ich repertuaru są najpopularniejsze. Znam płyty i śledzę wszelkie aktualności. Podobnie z aktorami. Wiem, w którym teatrze każdy występuje i w jakiej gra sztuce lub jaki kręci film...

— Słyszę ulubiony temat Doroty, naszej przyszłej aktorki filmowej — przerwał nagle naszą rozmowę wchodzący właśnie do Klubu Wojtek.

— Witam przyszłą sławę Olimpiad Sportowych! — odparowała cios Dorota.

— Dobrze, że jesteś, bo chcę się spytać, jak zbierasz autografy sławnych sportowców. Twoja kolekcja jest bardzo pokaźna.

— Nie proszę o dedykację w pamiętniku. To dobre dla dziewcząt. Ja zbieram podpisy sportowców na proporczykach, emblematach sportowych, znaczkach. Wystarczy mi sam podpis, byle bym wiedział, kto mi go złożył. Moja kolekcja to całe archiwum. Każdy „mój” sportowiec ma u mnie kartotekę z wynikami sportowymi, zdobytymi medalami, zawodami sportowymi, w których brał udział. O każdym mogę wiele powiedzieć. Dużo czytam i ciągle chodzę na różne mecze. Tam przeważnie kontaktuję się ze sportowcami. No a poza tym sam czynnie uprawiam sport i gimnastykę — tu Wojtek dumnie wypiął pierś i pokazał mi twarde bicepsy.

— To pewnie teraz nieustannie oglądasz transmisje z Olimpiady w Monachium?

— Nie tylko oglądam, ale też zdobędę kilka autografów od zagranicznych mistrzów. Jak to zorganizowałem? Zwyczajnie! Poprosiłem o to naszych sportowców wyjeżdżających na Olimpiadę. Obiecali, że zdobędą mi kilka autografów i emblematów. Trzeba mieć do wszystkiego głowę i spryt.

— Uważaj aby ta Olimpiada wybitnie nie przeszkodziła ci w nauce — niewinnie wtrąciła Dorota, a Wojtek spojrzał na nią „złym” okiem.

ALICJA WIELGOŁAWSKA

Foto: K. Adamowski

BLIŹNIĘTA

Zadanie polega na odgadnięciu wyrazów pomocniczych o poniższych znaczeniach i wpisaniu ich na miejsce liczb, znajdujących się przy każdym z nich, przy czym należy pamiętać, że takim samym liczbom odpowiadają takie same litery. Następnie na miejsce liczb widocznych w diagramach podstawić odpowiadające im litery (z odgadniętych wyrazów pomocniczych) i rzędami poziomymi odczytać „złotą myśl” słynnego filozofa greckiego Demokryta z Abdery, żyjącego w V—IV w. pne.

Znaczenie wyrazów pomocniczych (1):
niepunktualne przybycie = 10—11—26—14—17—2—5—17—2—5,
pojazd szynowy o napędzie elektrycznym = 9—8—7—23—1—7—6,
uczeń z opaską na rękawie = 16—13—24—22—8—17—13,
odbywający karę pozbawienia wolności = 1—2—3—12—2—5—15,
dziecko płci męskiej = 4—25—20—19—11—7—21,
zgęszczona para wodna unosząca się nad ziemią = 23—18—20—7.

2	4	25	■	18	20	22	11	4	26	1
17	2	24	■	1	10	12	13	10	9	21
■	8	19	12	22	23	17	5	18	19	■
19	■	4	12	20	19	1	2	5	21	7
6	7	14	15	■	6	5	16	17	5	18
7	■	6	5	10	9	■	11	8	12	13
1	2	3	4	5	6	■	1	7	8	9

BLIŹNIĘTA

1	2	3	4	5	6	■	1	7	8	9
7	■	6	5	10	9	■	11	8	12	13
6	7	14	15	■	6	5	16	17	5	18
19	■	4	12	20	19	1	2	5	21	7
■	8	19	12	22	23	17	5	18	19	■
17	2	24	■	1	10	12	13	10	9	21
2	4	25	■	18	20	22	11	4	26	1

Znaczenie wyrazów pomocniczych (2):
muskuł = 23—2—3—10—2—5—15,
historyczna kraina między dolnym Niemnem a Niewiażą i Windawą = 24—23—22—16—14,
rodzaj zadania rozrywkowego = 2—7—23—2—18—20—26—1—21—7,
dziecięce, długie i obcisłe spodnie z dzianiny = 8—7—6—9—22—12—13,
żagiew = 11—19—4—25—19—16—17—2—7.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „Bliźnięta”. Do rozlosowania:

bony książkowe.

Kiedy po raz pierwszy stanął w Warszawie pomnik syrenki? — pyta Zdzisiek Romanowski z Łodzi.

SYRENA NA COKOLE

Pierwszy pomnik warszawskiej syrenki, dłuta Konstantego Hegla, wzniesiony został w roku 1855. Stanął on na Rynku Starego Miasta, pośroku wodotrysku, skąd przeniesiony został dopiero w 1928 r. na Powiśle, na teren obecnego Parku Kultury. Mniejszy posąg syrenki zdobił wodotrysk przy bramie prowadzącej z Krakowskiego Przedmieścia na ulicę Karową; zniesiono go podczas budowy hotelu „Bristol".

Drugi pomnik swojej syrenki otrzymała Warszawa tuż przed ostatnią wojną. Rzeźbiony w latach 1936—37 przez Ludwikę Nitschową, stanął wiosną 1939 roku na Wybrzeżu Kościuszkowskim u wylotu Tamki. Ten najbardziej warszawski z pomników stolicy mieszkańcy przyjęli z entuzjazmem. Stał się on prawdziwym symbolem miasta i jego losów. Potrzaskany pociskami i kulami przetrwał tragiczny czas Września, okupacji i powstania, tak, jak przetrwało skazane na zagładę miasto. Nie żyje tylko dziewczyna, która dała warszawskiej syrenie twarz i sylwetkę. Dopiero po wojnie okazało się, że anonimowy posąg jest portretem. Ludwice Nitschowej pozowała do tej rzeźby warszawska studentka — choć nie rodem z Warszawy — Krystyna Krahelska.

Wspaniała dziewczyna, jedna z najdzielniejszych postaci kobiecych ostatniej wojny, autorka wielu znanych wierszy i piosenek żołnierskich, m. in. ogromnie popularnej „Hej chłopcy — bagnet na broń". Zginęła bohatersko jako sanitariuszka w pierwszym dniu powstania 1944 r. Za swoją postawę odznaczona została Krzyżem Walecznych. Dzięki niej bliski zawsze Warszawie pomnik-symbol stał się miastu jeszcze bliższy. (jk).





MIASTO Z ROZBITYCH STATKÓW

KORRAKROS — maleńki port na skalistej wyspie u zachodnich wybrzeży Irlandii — należy do najoryginalniejszych miast w świecie. Jego domy zbudowane zostały z bardzo rzadkich i cennych gatunków drzewa: morennego dębu, oregońskiej sosny czerwonego buku i libańskiego cedru. Drewno to pochodzi z rozbitych statków i wyniesione zostało na brzeg silnym prądem Golfstromu.

Pierwszy dom w Korrakros zbudowany został w 1740 roku z kadłuba angielskiej fregaty, rozbitej u wybrzeży wyspy.



KRECI SKARB

NA POLANIE pod Wielkim Tyrnowem, dawną stolicą bułgarską, miejscowi chłopi spostrzegli ze zdumieniem, że kopczyk ziemi usypany przez kreta połyskuje w słońcu. Zaintrygowani obejrzeli kopczyk z bliska. Warto było: składał się on ze srebrnych monet. Zawiadomiono archeologów, którzy zaczęli w tym miejscu kopać i wydobyli garniec pełen cennych monet z IV wieku. Monety wzbogaciły miejscowe muzeum. Chciano kreta sfotografować, aby zwiedzający wiedzieli, komu zawdzięczają tak ciekawe eksponaty, ale niestety, oczywiście przez skromność — oddalił się z miejsca sensacyjnego odkrycia.





MINI-KARY na start!

Jak już informowaliśmy 7—8 października br., a więc za niecały miesiąc, odbędą się w Warszawie I Ogólnopolskie Zawody Minikarów. Kartę zgłoszenia do zawodów zamieściliśmy w numerze z dnia 1 września. Wielu czytelników posiadających minikary zgłosiło już swój udział w zawodach. Niektórzy odpowiedzieli na nasz apel i nadsyłają zdjęcia swoich pojazdów (pierwsze z nich zamieszczamy obok). Pragniemy przyszłych uczestników zawodów zaprezentować wszystkim czytelnikom „Świata Młodych".

W listach do redakcji natrafiliśmy na pytania dotyczące zawodników i ich wyposażenia. W oparciu o regulamin Konkursu Minikarów (wydrukowany w nr 13 „Świata Młodych") odpowiadamy:

● W zawodach mogą brać udział zarówno chłopcy jak i dziewczęta w wieku od 8 do 16 lat. O dopuszczeniu kandydata decyduje posiadanie przezeń karty rowerowej (zawodnicy starsi) i wykazanie się wiadomościami z zakresu techniki prowadzenia pojazdu oraz podstawowych zasad bezpieczeństwa ruchu (zawodnicy młodsi).

● Wyposażenie zawodnika. Każdy zawodnik musi startować w kasku ochronnym, w okularach, w rękawicach i dość ściśle przylegającym ubiorze z długimi rękawami. Na nogach powinien mieć mocne obuwie chroniące kostkę.

● Uwaga! Każdy minikar musi być zaopatrzony w mocny zaczep do liny holowniczej, w celu wciągnięcia pojazdu na miejsce startu (minikary wciągane będą przez motocykle). Zaczep musi być zamocowany do przodu podwozia; w żadnym wypadku nie na mechanizmie kierowniczym.

● Halo! Waldek Lewandowski z Burzenina. Niestety, pojazd, który zbudowałeś nie może brać udziału w zawodach, ponieważ jest napędzany silnikiem. To gokart. Wyjaśniamy: minikar jest to amatorsko wykonany, prosty pojazd czterokołowy, bez napędu, przystosowany do zjazdu z górki (po pochyłościach) lub na odpowiednim torze.



Pierwszymi, którzy zaprezentowali swoje pojazdy i gotowość startu w Ogólnopolskich Zawodach Minikarów są uczniowie Szkoły Podstawowej nr 17 w Warszawie. Szkoła ta wystawia cztery załogi, tyleż bowiem zbudowano pod kierunkiem nauczyciela p. M. Maciejewskiego na zajęciach Koła Politechnicznego, minikarów. Jak nas ostatnio poinformowano, minikarowcy ze Szkoły nr 17 chętnie ofiarują swoją pomoc przy organizacji zawodów. Serdecznie Im za gotowość dziękujemy!

Foto: K. Adamowski



Oto Wiesiek Nerć, lat 14, harcerz z Ostrowca Świętokrzyskiego, uczeń Szkoły Podstawowej nr 4, który na dwóch nadesłanych zdjęciach (zamieszczamy jedno) prezentuje swój minikar zbudowany w świetlicy WSS „Społem". Minikar Wieśka nosi nazwę „Ptyś". Trzeba przyznać, że prezentuje się okazale.

ZEMSTA KONKURENTÓW

PAN WILLIAM spokojnie przechadzał się po parku w Sydney, gdy nagle rzucił się na niego rój pszczół. Na jego głośne krzyki i jęki zbiegło się mnóstwo przechodniów, którzy zaczęli ratować straszliwie pokąsaną ofiarę, a wyratowawszy odesłali do szpitala. Zaobserwowano rzecz niezwykłą: nikogo z ratujących pszczoły nie gryzły, pastwiły się wyłącznie nad panem Williamem. Różnie próbowano rzecz wyjaśnić, wreszcie rozwikłał sprawę uczony entomolog: pan William pracuje w fabryce sztucznego miodu. Ten właśnie zapach doprowadził pszczoły do wściekłości...

